

wolni i solidarni

Solidarność WALCZĄCA

KWARTALNIK POLITYCZNY

Nr 3-4 (322-323) rok XVII 1998 cena 1,50 zł



Rys. ARKADIUSZ GACPARSKI

Czytaj s. 12-15

WKRÓTCE:

● CH. ADAMS, Podatki a pomyślność państw

● Wywiad z prof. Jerzym Przysławą

W numerze:

● **GEOKONSERWATYZM**
Kim R. Holmes

Wojna wietnamska była klasyczną wojną. Liberalów, wojna w Zatoce Perskiej była klasyczną wojną konserwatystów.

s. 7

● **ALTERNATYWY POLITYCZNE**
Wywiad z Janem Olszewskim

Pewnej nocy w styczniu 1992 roku obudził mnie zastępca szefa UOP. Miał bardzo pilną wiadomość, która musiała być natychmiast przekazana.

s. 12

● **SOLIDARNOŚĆ W NAUCZANIU**
JANA PAWŁA II
T. Grabińska

Zasada solidarności jest jedną z podstawowych zasad organizacji społeczności ludzkiej w każdej skali - rodziny, lokalnych wspólnot, społeczności narodowej i międzynarodowej.

s. 16

● **ZANIECHANY WĄTEK**
A. Zybortowicz

Podczas wizyty w Polsce W. Bukowskiego dyskutowano czy prawdę mówi Jaruzelski, iż pod koniec '81 groziła Polsce sowiecka interwencja.

s. 26

Teresa Grabińska

Mirosław Zabierowski

AKSJOLOGICZNY KRAĞ *SOLIDARNOSCI*

**Rekonstrukcja uniwersalizmu solidarnościowego
i jego uzasadnienie w nauce społecznej Jana Pawła II**



Termin *solidarność* określa wartość etyczną.

W książce odtwarza się treść tego pojęcia na podstawie trzech źródeł:

Po pierwsze – autorzy ukazują, co oznacza słowo *solidarność* w języku polskim i w jaki sposób specyfika polskiego znaczenia *solidarności* wpłynęła na kształtowanie się doktryny ruchu „Solidarność” w latach 80.

Po drugie – autorzy stawiają tezę, że rozumienie terminu *solidarność* w języku polskim sięga do uniwersalizmu etyki katolickiej. Dlatego też poddają rekonstrukcji i analizie kwestię solidarności, głównie w odniesieniu do społecznych encyklik Jana Pawła II – „Laborem exercens”, „Sollicitudo rei socialis”, „Centesimus annus”, adhortacji „Familiaris consortio” i „Listu do rodzin”. Autorzy łączą solidarność w skali społecznej z solidarnością w rodzinie.

Po trzecie – autorzy odtwarzają doktrynę „Solidarności z lat 80. Rekonstrukcja ta pozwala wzbogacić znaczenie terminu *solidarność* w języku polskim i sugeruje nową koncepcję społeczeństwa, jak i rozumienia dziejów w perspektywie etyki solidarnościowej.

Zamówienia można składać:

OFICyna WYDAWNICZA

POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

Wybrzeże Wyspiańskiego 27, 50-370 Wrocław

STAŁE PUNKTY SPRZEDAŻY „SW”

**„SW” można zamawiać w punktach
sprzedaży prasy współpracujących
z firmą kolportażową ROLKON**

**(60-801 Poznań, ul. Marceńska 18,
tel./fax 865-65-59)**

**Poznań
Księgarnia Konserwatywna „WERS”,
ul. Kraszewskiego 8;**

**Księgarnia Uniwersytecka,
Filia w Collegium Historicum, ul. Św. Marcin 78**

**♦ ♦ ♦
Warszawa**

**Księgarnia Konserwatywna ANTYK,
Pl. Trzech Krzyży 3**

SPIS TREŚCI

FAKTY I KOMENTARZE

Olgierd Żmudzki	<i>Polityka w samorządzie</i>	4
Krzysztof Brzechczyn	<i>Ojczyzna z papieru</i>	6
Andrzej Zybortowicz	<i>Obywatelski punkt widzenia</i>	6

AMERYKA, AMERYKA

Kim R. Holmes	<i>Geokonserwatyzm. Dlaczego konserwatyści są w polityce zagranicznej lepsi od liberałów.</i>	7
---------------	---	---

POLSKA – ALE JAKA?

Krzysztof Brzechczyn	<i>Nie zrealizowane alternatywy polityczne – rozmowa z byłym premierem III RP Janem Olszewskim</i>	12
Teresa Grabińska	<i>Znaczenie słowa solidarność w encyklikach społecznych Jana Pawła II</i>	16

HISTORIA NAJNOWSZA

Stanisław Andruszkiewicz	<i>Zwycięstwo prowokacji?</i>	19
Olgierd Żmudzki	<i>Miedzy socjalizmem a liberalizmem – Oscar Wilde</i>	21
Marek Kozłowski	<i>Szermierz wolności</i>	23

RECENZJE I OMÓWIENIA

Olgierd Żmudzki	<i>Łganie prosto w oczy</i>	25
Andrzej Zybortowicz	<i>Zaniechany wątek</i>	26
Janusz Kopycki	<i>Narodowe Siły Zbrojne – historia prawdziwa, acz nieznana</i>	27



Numer zamknięto 1 XII 1998 r. **Wydawca:** Wydawnictwo „WiS”.

Redaguje zespół: Zbigniew Bereszyński, Krzysztof Brzechczyn (**redaktor naczelny**), Maciej Frankiewicz, Janusz Kopycki, Romuald Lazarowicz, Kornel Morawiecki, Olgierd Żmudzki.

Adres redakcji: „Solidarność Walcząca”, ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań, tel./fax (0-61) 826 77 52

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. **Prenumerata roczna** (gwarantuje otrzymanie czterech kolejnych numerów) – 9 zł. **Prenumerata zagraniczna roczna** – 10\$. Przekazy pocztowe z dokładnym adresem prenumeratora i liczbą zamawianych egzemplarzy prosimy kierować pod adresem wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań. Cena reklamy: 1 cm² – 20 groszy. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń.

Polityka w samorządzie

Ostatnie wybory samorządowe w Polsce (11 października 1998 r.), przyniosły wyniki, które nie są żadnym zaskoczeniem. Wysuwaliśmy kiedyś przypuszczenia, że z każdym rokiem polskie życie polityczne będzie coraz bardziej przewidywalne, i teza ta potwierdza się w całej rozciągłości. Wskazywane przez wszystkich upolitycznienie wyborów przyniosło wynik bardzo podobny do układu, z jakim mieliśmy do czynienia po wyborach parlamentarnych. Jednakże rysuje się pewien trend polegający na słabnięciu ugrupowań centrowych, które próbują wygrywać polityczne znaczenie pomiędzy dwoma potężnymi politycznymi filarami: prawicy – AWS i lewicy – SLD.



ARKADIUSZ GACPARSKI

Wynik wyborów samorządowych przyniósł jedno zaważalne rozstrzygnięcie: oto obserwujemy początek końca politycznego Unii Wolności. Jednakże w przypadku tego ugrupowania problem leży nie tylko w samym wyniku wyborów, lecz w jego dalszych skutkach. Unia Wolności od początku istnienia (jako Komitety Obywatelskie) próbowała grać rolę trzeciej politycznej siły, robić polityczne interesy z ugrupowaniami prawicowymi lub lewicowymi. Z początku ta taktyka przynosiła jej powodzenie, a w latach 1989-1993 nawet możliwość sprawowania realnej władzy. Swoistą czapką niewidką był skład personalny tego ugrupowania, w którym nie brakowało zwolenników zarówno opcji lewicowych, jak i prawicowych. Taka

mieszanka przez wiele lat dawała Unii polityczne powodzenie, nawet w sytuacji, gdy została od władzy odsunięta. W ostatnich wyborach parlamentarnych mimo nierewelacyjnego wyniku odegrała rolę jęczyczka u wagi i doszła do współrządzenia dzięki prostej arytmetyce układu w Sejmie. Gdyby nie obawa o własny elektorat, UW mogłaby także próbować nawiązać sojusz z SLD i PSL. Także i w tym układzie miałyby szansę na współrządzenie.

Przedstawione wyżej kalkulacje w wyborach samorządowych tracą sens i rację bytu. Unia Wolności osiągnęła wynik zbyt słaby, żeby stawiać jakieś polityczne warunki. Arytmetyka wyborcza wskazuje bowiem, że UW może co prawda odegrać pewną rolę wyłącznie jako sojusznik AWS. Pole manewru UW i możliwość nawiązania sojuszy z SLD poprzez słaby wyborczy wynik znacznie się skurczyło! W podobnej do Unii Wolności sytuacji znalazła się także koalicja ugrupowań pod nazwą Przymierze Społeczne, w skład którego wchodziły Unia Pracy, PSL Kalinowskiego (dawniej Pawłaka) oraz Partia Emerytów i Rencistów (PZPRO-wskiego portfela). Także i te ugrupowania, nawet działając razem, nie zwojowały w ostatnich wyborach samorządowych wiele i jedynym dla nich wyjściem jest zawarcie porozumienia z SLD, co pozwoli na przejęcie władzy w kilku miastach czy województwach.

Tendencja do polaryzacji politycznej sceny narasta coraz bardziej i wiele na to wskazuje, że podziały polityczne, do których demokracje anglosaskie dochodziły przez dziesięciolecia, w Polsce już niedługo staną się rzeczywistością. Przy istniejącej ordynacji wyborczej do wszystkich szczebli władzy jedynym logicznym rozwiązaniem jest przejęcie politycznych wpływów całej lewicy przez SLD, a prawicy przez AWS. Wybory samorządowe pokazały, że na tej drodze zrobiono w Polsce dalszy, znaczący krok.

Czy jednak skrajne upolitycznienie wyborów samorządowych wyszło Polsce na dobre? Na pięciu potencjalnych wyborców jeden stał przed urną, żeby głosować na prawicę, drugi na lewicę, a trzech nie uznało za stosowne, żeby głosować w ogóle! Niektórzy komentatorzy życia politycznego wskazują na fakt ostrej walki wyborczej jako na czynnik, który zniechęcał niezdecydowanych do głosowania. Jednak porównanie Polski do innych krajów wskazuje raczej

na to, że prowadzona nad Wisłą walka polityczna nawet nie zbliżyła się do najgorszych w tej mierze wzorców! Jeśli nie ostrość politycznej walki, to co zniechęca wyborców do aktywnego głosowania? Wyborców prawicy do udziału w głosowaniu zniechęcić może zbyt duży wybór ugrupowań po prawej stronie politycznej sceny, które próbowały wytłumaczyć, że różnią się zamierami i programem od AWS, ale nie zdołały przebić się w środkach masowego przekazu. Wyborcy, którzy chcieli głosować na prawicę, podobnie jak w wyborach parlamentarnych bez specjalnego kombinowania głosowali na AWS.

Niska frekwencja miała sprzyjać SLD, który posiada stały elektorat, usytuowany zawsze w tych samych województwach. Jednak sami liderzy tego ugrupowania wskazywali, że w wielu wypadkach właśnie niska frekwencja sprzyjała AWS-owi! Można też wskazywać na fakt, że niska frekwencja w wyborach samorządowych jest cechą charakterystyczną takich wyborów w większości państw demokratycznych. Jednak niewielu komentatorów zauważa, że Polska ciągle w tej dziedzinie bije kolejne rekordy. Dlaczego więc tak się dzieje?

Przez lata istnienia młodej polskiej demokracji rozwijały się w społeczeństwie mniej lub bardziej udokumentowane poglądy, że życie



Rys. ARKADIUSZ GACPARSKI

polityczne i politycy zajmują się sprawami niezbyt moralnie czystymi. Wskazywano, że politycy, czy to z prawa, czy to z lewa, mają swoje interesy w takim właśnie przebiegu społecznego życia, jaki obserwujemy i właściwie nie ma specjalnie sensu się angażować w to wszystko i chodźć na kolejne głosowania. I tak niewiele to da! Tego typu sądy i działania bardzo często przypisywano politykom i propagandzistom o komunistycznej przeszłości i sympatiach. Jednak czy były to opinie do końca słuszne. Czy wina za zniechęcanie do aktywnego życia politycznego leży tylko i wyłącznie po stronie ludzi politycznej lewicy, jak twierdzą niektórzy?

Porównajmy dwa bardzo podobne fakty. Na wiosnę 1997 roku odbywało się referendum w sprawie nowej kon-

stytucji. Zdecydowana większość działań propagandowych prawicy była skierowana na zablokowanie jej uchwalenia. Wśród argumentów, które wtedy padały, można było dostrzec hiobowe wizje upadku kraju, gdy lewicowa konstytucja zostanie uchwalona. Tymczasem właśnie minął pełny rok, odkąd konstytucja ta weszła w życie, i co się okazało? O upadku kraju z powodu takiego właśnie kształtu konstytucji nie ma mowy. Można nawet zauważyć, że politycy prawicy czasem próbują wykorzystywać dla realizacji swoich zamiarów niektóre jej zapisy. Z czasem, gdy poznają obecny kształt i literę konstytucji lepiej, będą z niej zapewne czerpać pełnymi garściami. Otóż zestawienie olbrzymich lamentów przed uchwaleniem konstytucji i obecnej sytuacji, gdy nie dzieje się w związku z nią nic złego, jest zastanawiające!

A teraz drugi z faktów dotyczący z kolei komunistycznej lewicy. Od chwili przyjęcia przez rząd Hanny Suchockiej zobowiązania o podpisaniu konkordatu z Watykanem wszystkie partie lewicowe w najrozmaitszy sposób torpedowały możliwość zatwierdzenia tej umowy przez Sejm. Propaganda lewicowo-komunistyczna roztrząsała wizje straszliwych klęsk, jakie przyniesie Polsce podpisanie tej umowy. Tymczasem konkordat został przyjęty i co? No, i znowu nic! Nie dzieje się nic niepokojącego, nic, co by uprawniało trwające prawie pięć lat wrzaski!

Spójrzmy teraz na problem wyborów z punktu widzenia zwykłego obywatela. Czy widząc opisane wyżej działania naszej klasy politycznej (a podobnych spraw było przecież znacznie więcej), świadomy obywatel kraju nad Wisłą będzie chciał ochoczo rzucać się w rwący nurt życia politycznego lub chociaż iść do urn wyborczych? W jego oczach politycy, czy to z prawa, czy z lewa, skompromitowali się już nieprzemyślanymi działaniami tyle razy, że nie chce im udzielić swojego wsparcia, nie chce się mieszać do tej całej brudnej polityki – jak to sam ocenia!

Gdyby tak każda z partii działających w Polsce i każdy ze znanych polityków zechcieli zrobić bilans tego, co od 1989 roku zrobili, to czy nie okazałoby się, że niemała część ich działań musiała zniechęcić obywateli Polski do elementarnego nawet udziału w życiu politycznym? I to od Wałęsy poczynając, na Kwaśniewskim bynajmniej nie kończąc! Nieobecny przy urnach elektorat nie wymaga od polityków ani programów, ani zapewnień. Wymaga udowodnienia, że politycy w ogóle już dorośli i można ich brać poważnie!

Olgięd Żmudzki

Ojczyzna z papieru

Sześciu posłów związanych z Rodziną Radia Maryja wystąpiło z Akcji Wyborczej Solidarność. Po wykluczeniu posłów Konfederacji Polski Niepodległej-Obóz Patriotyczny z AWS bliżej realizacji są zamierzenia utworzenia alternatywnego bloku prawicowo-radykalnego, w skład którego weszliby posłowie niezależni (A. Macierewicz i J. Kaczyński), reprezentujący środowisko Radia Maryja, KPN-OP oraz Ruchu Odbudowy Polski. W bloku takim mogliby również znaleźć się posłowie PSL.

Powstanie takiego porozumienia parlamentarnego – jak zapewniają komentatorzy polskiej sceny politycznej – odebrałoby AWS monopol na prawicowość. Pewne ugrupowania w łonie AWS, takie jak Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, musiałyby się na nowo określić: pozostawać w rządzącej koalicji czy przystąpić do alternatywnego bloku politycznego, odwołującego się w dodatku do tego samego, co ZChN elektoratu. W konsekwencji powstanie nowego porozumienia politycznego wzmocniłoby w AWS postawy niechętnie Unii Wolności, co mogłoby nawet zagrozić załamaniem się rządzącej koalicji AWS-UW.

Rzecz tylko w tym, co mogłoby być spoiwem tego przyszłego porozumienia politycznego: bezradność poszczególnych podmiotów wchodzących w jego skład wobec obecnego układu rządowego zdominowanego przez Unię Wolności czy wspólnota programowa? Albowiem pod względem głoszonych zasad ideowych przyszły klub poselski byłby porozumieniem nader egzotycznym. Przypatrzmy się bowiem bliżej potencjalnym koalicjantom. Niedawny rozłam w ROP na umiarkowanych i narodowo-katolickich radykałów spowodowany był między innymi różnicami dotyczącymi miejsca katolicyzmu w życiu publicznym. Jedni – umiarkowani działacze skupieni wokół J. Olszewskiego opowiadają się w zasadzie za modelem państwa świeckiego. Drudzy – zwolennicy A. Macierewicza, optując za instytucjonalną formą obecności wyznania katolickiego w instytucjach państwowych, oskarżali swoich kolegów o kosmopolityzm i liberalizm. Jeżeli w ROP nie mogli porozumieć się Olszewski z Macierewiczem, to w jaki sposób w Sejmie koło ROP porozumie się z posłami z Radia Maryja? Różnice pomię-

dzy środowiskiem Radia Maryja a ROP-em są bowiem głębsze, gdyż dotyczą nie tylko spraw wyznaniowych. Nurt politycznego katolicyzmu skupiony wokół o. Rydzka przeciwny jest integracji Polski z Unią Europejską oraz sceptyczny wobec wejścia Polski do NATO. Natomiast ROP zajmuje stanowisko eurorealistyczne – opowiada się za przystąpieniem Polski do UE pod pewnymi wszakże warunkami – wydłużonym okresem przejściowym i gwarancjami dla polskiego rolnictwa. Rząd J. Olszewskiego był pierwszym gabinetem, który zadeklarował chęć przystąpienia do NATO. Wszelkie porozumienie pomiędzy takimi partnerami siłą rzeczy będzie krótkotrwałe, ograniczone do osiągnięcia doraźnych celów i z góry skazane na klęskę. Idźmy dalej.

Hasłem zarówno ROP, jak i środowiska Radia Maryja jest dekomunizacja struktur państwa. Jak pogodzić realizację tego postulatu z sojuszem z PSL – partią wiejskiej nomenklatury, który w PRL, jeszcze przed zmianą nazwy z ZSL na PSL, realizował na wsi wytyczne PZPR zmierzające do kolektywizacji rolnictwa? Żeby było śmieszniej, zapowiadana koalicja nazywać ma się prawicową. Jak to pogodzić z obecnością w niej KPN-OP? – jest to dla mnie prawdziwą zagadką. Pamiętam, że w wyborach parlamentarnych w 1991 roku zjednoczona KPN, do której należał również A. Słomka, zapowiadała, że po objęciu władzy rozda każdemu po trylionie złotych (było to jeszcze przed dewaluacją). Miał być to świetny pomysł na rozkręcenie koniunktury gospodarczej. Jak głoszący takie pomysły gospodarze mogą nazywać się partią prawicową, pozostanie ich słodką tajemnicą. Swoistym ewenementem w tej koalicji jest Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, które zmienia koalicjantów jak rękawiczki. W 1995 roku partia ta popierała L. Wałęsę, w 1997 roku zawarła porozumienie z PSL, zaś w tegorocznych wyborach samorządowych weszła w skład RP „Ojczyzna”. Kto w przyszłych wyborach będzie następnym koalicjantem tej partii na razie nie wiadomo.

Reasumując, wydaje się że zapowiadane porozumienie wyborcze nie ma racji bytu, albowiem podmioty wchodzące w skład potencjalnej koalicji więcej dzieli, niż łączy. Różnice te są niewidoczne, gdyż wspomniane środowiska polityczne nie są u władzy. Gdyby jednak zdobyły wpływ na ośrodki decyzyjne, występujące pomiędzy nimi różnice natychmiast ujawnią się. A wszystko to źle wróży stabilności nowego bloku politycznego.

Krzysztof Brzechczyn

Obywatelski punkt widzenia

Spór wokół krzyża w Oświęcimiu inaczej wygląda z żydowskiego, inaczej z chrześcijańskiego punktu widzenia. Istnieje też obywatelski punkt widzenia, oparty zazwyczaj na zasadzie światopoglądowej neutralności państwa.

Zasada ta wyłoniła się w efekcie toczonych w Europie wojen religijnych. Religie dawały ludziom różne wizje świata. Nierzadko sięgano po przemoc, aby swoją wizję narzucić innemu. Wówczas wyłoniła się idea, aby ład prawny tworzony przez państwo był w pewien sposób nadrzędny nad instytucjami religijnymi. Ludzie każdej wiary, jako obywatele państwa, mogą wyznawać swoją religię. Ale tylko w granicach określonych przez prawo państwowe, wobec religii zewnętrzne i przez to równo obowiązujące wszystkich. Oznacza to, że przedstawiciele każdego wyznania mogą odbywać praktyki religijne i wyrażać publicznie swoje przekonania na gruncie prawa obowiązującego w danym kraju pod warunkiem, że nie naruszają praw innych obywateli innych wyznań. Na gruncie tak pojmowanej zasady neutralności do zadań państwa należy niedopuszczanie, by obywatele – wyznawcy którejś z wiar – narzucali swoje poglądy obywatelom wierzącym w innego Boga lub nie wierzącym w żadnego.

Ostatnio naczelny rabin Polski, Menachem Pinchas Jaskowicz, powiedział, że w Oświęcimiu nie powinien stać krzyż ani

żaden inny symbol religijny, gdyż „Prawo Mojżeszowe nie pozwala Żydom modlić się obok krzyża” (cyt. za „Gazetą Wyborczą”). Nasuwa to pytanie, czy zasada neutralności światopoglądowej państwa obejmuje także prawa Polaków i chrześcijan do uczczenia na nasz własny sposób pamięci o naszych męczennikach i wymordowanych wraz z nimi żydowskich mieszkańców naszej Ojczyzny i *starszych braciach*? (cyt. z tekstu ks. Waldemara Chrostowskiego zamieszczonego w „Życiu”).

Czy krzyż, o który toczy się spór, narusza czyjeś prawa obywatelskie? I czy czyjeś prawa nie będą naruszone, gdyby krzyż z miejsca, w którym stoi, usunięto?

Jeśli dobrze rozumiem wypowiedź rabina, przedstawiciel jednej z religii domaga się pozbawienia ludzi innej wiary prawa do jej wyrażania. Nie zauważyłem, jak dotąd, by obrońcy zasady państwa neutralnego światopoglądowo zabrali głos w tej sprawie. Dlaczego milczą? Czy nie dostrzegają, że ta zasada jest teraz atakowana? Chciałbym, aby głos zabrali właśnie oni i powiedzieli, co z zasady tej wynika dla sporu o krzyż w pobliżu obozu zagłady. W sporze o krzyż w Oświęcimiu, stojący **poza terenem obozu**, zabrakło mi tego obywatelskiego wymiaru sprawy. Rodzi to podejrzenie, że ci, którzy w ramach prac nad konstytucją donośnie walczyli o uznanie neutralności światopoglądowej państwa, robili to dla celów politycznych (walki z Kościołem Katolickim), a nie dla publicznych.

Andrzej Zybortowicz

Geokonserwatyzm

Dlaczego konserwatyści są w polityce zagranicznej lepsi od liberałów?

Wybory do Kongresu w 1994 r. przyniosły porażającą klęskę liberalizmu, zarówno w polityce zagranicznej, jak i w polityce wewnętrznej. Partia Demokratyczna utraciła kontrolę nad Senatem oraz Izbą Reprezentantów nie tylko dlatego, iż Amerykanie uważali, że ich kraj jest gospodarczo i kulturalnie na złej drodze, lecz również dlatego, że liberałów w Kongresie i krajową Partię Demokratyczną ściśle utożsamiano z polityką zagraniczną prezydenta Clintona. Katastrofa, jaka spotkała Billa Clintona w polityce zagranicznej, nie wynikała przede wszystkim z niekompetencji, obojętności czy niedoświadczenia, lecz z tego, że jest on liberałem – liberałem wysyłającym Jimmy'ego Cartera, by negocjował z dyktatorami; liberałem który w odpowiedzi na północnokoreański szantaż nuklearny posyła do Phenianu miliardy dolarów haraczku; liberałem najeżdżającym Haiti w interesie nienawidzącego Amerykanów lewicowego demagoga; liberałem wyrzekającym się amerykańskiej suwerenności poprzez oddanie wojsk USA pod komendę Narodów Zjednoczonych; liberałem wystawiającym na szwank wiarygodność Ameryki przez stawianie Chinom ultimatum, którego nie zamierzał egzekwować; liberałem w niebezpieczny sposób osłabiającym zdolności obronne Ameryki.

Konfrontacja na oślep

Wszystkie te błędy w polityce zagranicznej administracji Clintona zostały popełnione na żądanie lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej. Chodzi tu o to samo środowisko, które wpakowało Amerykę do Wietnamu, a potem, gdy zaczęły się kłopoty, wzięło nogi za pas i wystąpiło przeciwko wojnie. To samo środowisko sprzeciwiało się stawianiu czoła Sowietom w Ameryce Środkowej i podczas kryzysu wokół sprawy rakiet średniego zasięgu w latach 80. To samo środowisko sprzeciwiało się przystąpieniu do wojny z Saddamem Husejmem w 1991 r. Od Johna F. Kennedy'ego i Lyndona Johnsona po Jimmy'ego Cartera i Billa Clintona wahało się ono pomiędzy polityką ugłaskiwania przeciwnika („appeasement”) a konfrontacją na oślep, wciągającą Amerykę do wojen. Wyborcy nie uważali, by środowisku temu można było powierzyć politykę zagraniczną w okresie Zimnej Wojny. Obecnie nie powierzyli mu również świata po Zimnej Wojnie.

I nie bez powodu. Postrzeganie Clintona jako prezydenta słabego w polityce zagranicznej zachęcało nieprzyjaciół Ameryki do testowania jego stanowczości i rzucania Stanom Zjednoczonym wyzwania w taki sposób, w jaki nie ośmielono by się tego czynić w przypadku Ronalda Reagana czy George'a Busha. Któż może mieć wątpliwości co do tego, że Fidel Castro puścił swoich „boat people”, ponieważ widział w jaką panikę wpadł Clinton gdy zaczął się napływ uchodźców z Haiti? Kto, może wątpić w to, że północni Koreańczycy przeciągają rozmowy na temat broni nuklearnych, uzyskując w końcu poważne ustępstwa ze strony USA, ponieważ widzieli nieudolne postępowanie Clintona w sprawie Haiti i Bośni? I któż może wątpić, że decyzja Saddama Husejma o koncentracji wojsk na granicy z Kuwejtem była częściowo motywowana przypuszczeniem, wzbudzoną przez rozmaite misje pokojowe Jimmy'ego Cartera, iż administracja Clintona może być dość słaba, by dało się wymusić na niej układ w sprawie zniesienia embarga naftowego wobec Iraku? Wszystkie te kryzysy i problemy, zostały wytworzone przez słabość Clintona i nawet wówczas gdy był on zmuszony działać twardo w celu naprawienia swoich wcześniejszych błędów – np. wtedy, gdy pchnął siły zbrojne USA do Kuwejtu – jego późniejsze twarde stanowisko nie mogło zatrzeć wrażenia słabości, które wywoływało kryzysy w pierwszym rządzie.

Zasady zwycięstwa

Przeciwnictwem zbankrutowanego liberalizmu Clintona są konserwatywne zasady i praktyki, które doprowadziły do zwycięstwa Ameryki w Zimnej Wojnie. Zasady te obejmują strategię pokoju poprzez siłę, trzeźwy realizm po stronie demokratycznych ideałów, niezachwiane zaangażowanie w budowę sojuszy

pod amerykańskim przewodnictwem oraz trwale poszanowanie dla suwerenności i interesów Ameryki. Zasady te zostały wypróbowane i sprawdzone na przestrzeni ponad 40 lat przez wielkich konserwatywnych prezydentów okresu Zimnej Wojny – George'a Busha, Ronalda Reagana, Richarda Nixona, Dwighta Eisenhowera i Harry'ego Trumana, który mimo swojego liberalnego rodowodu był konserwatywny w swej nienawiści do komunizmu, w twardej obronie przez siebie amerykańskich interesów i wartości oraz w swoim zdrowym pojmowaniu roli siły militarnej. Prezydentowi Clintonowi i jego doradcom z Białego Domu, którzy podobno dociekają jak Truman stawiał czoła republikańskiemu Kongresowi w latach 1947-48 i jak zajął się potem sprawą swojej reelekcji, dobrze byłoby poradzić, aby skupili się bardziej na polityce zagranicznej Trumana niż na jego polityce wewnętrznej.

Architekci zimnowojennej strategii Zachodu pilnie studiowali historyczne doświadczenia. Zdając sobie sprawę z tego, że izolacjonizm jest szaleństwem, zimnowojenni przywódcy Ameryki utrzymywali zaangażowanie Ameryki w Europie poprzez NATO. Wiedząc z historycznych doświadczeń Monachium, że ugłaskiwanie („appeasement”) tylko zachęca do agresji, rozwinęli twardo nastawioną politykę powstrzymywania ekspansji Związku Radzieckiego. Wiedząc, iż chaos gospodarczy stanowi pożywkę dla totalizmu, zachodni przywódcy wdrożyli także Plan Marshalla, odbudowując Europę Zachodnią według wzorców demokratycznych. Poznawszy zaś użyteczność siły militarnej w II wojnie światowej, sojusz zachodni zbudował ogromną siłę militarną, obejmującą broń konwencjonalną i nuklearną, nie tylko jako czynnik odstraszający, lecz również jako efektywną siłę bojową.

Historyczna amnezja

Liberałowie i konserwatyści byli w Ameryce partnerami w budowaniu owego zimnowojennego gmachu aż do czasu wojny wietnamskiej. W toku tej wojny konsensus ów zaczął się załamywać wraz ze wzrostem wpływów lewego skrzydła Partii Demokratycznej. W tym to czasie zaczęła się rozwijać historyczna amnezja u liberałów i dużych odłamów Partii Demokratycznej. Środowiska te zaczęły flirtować z takimi sposobami podejścia do polityki zagranicznej, co do których historia niejednokrotnie dowiodła, że są zawodne. Tak np., zapominając lekcję Monachium, zaczęto nalegać na łagodniejsze traktowanie Sowietów. Zapominając lekcję Monachium i II wojny światowej, próbowano rozbroić Zachód poprzez opartą na błędnych przesłankach politykę kontroli zbrojeń. Sprzeciwiano się też, z niemal odruchową jednostajnością, wymuszonym przede wszystkim przez konserwatystów, wysiłkom USA na rzecz powstrzymania szerzenia się komunistycznych ruchów wywrotowych w trzecim świecie.

Liberałowie debiutujący w latach 60. przede wszystkim stracili z pola widzenia cele siły militarnej. Cele te opisał najlepiej Jerzy Waszyngton, stwierdzając w swoim pierwszym dorocznym orędziu do Kongresu w roku 1790: „Bycie przygotowanym do wojny to jeden z najsukuteczniejszych sposobów ochrony pokoju”. Konserwatyści uważają, że głównym celem posiadania siły zbrojnej jest odstraszanie agresora, a gdy odstraszanie zawodzi – wygrywanie prowadzonych przez naród wojen. Celem tym nie jest bycie światowym policjantem ani budowanie demokracji w całym świecie. Siła militarna powinna być używana do osiągania celów czysto militarnych i zgodnie z konserwatywną wiarą w rząd ograniczony nie powinna być trwoniona czy marnowana na bezowocne praktykowanie opartego na błędnych przesłankach altruizmu, jak zdarzyło się w Somalii i jak obecnie dzieje się na Haiti.

Idee te stanowiły inspirację dla strategii powstrzymywania, odstraszania i udanego użycia siły zbrojnej, co doprowadziło do zwycięskiego zakończenia Zimnej Wojny. Zimnowojenna strategia Ameryki przegrywała, jak stało się w Wietnamie, w takim zakresie, w jakim, przede wszystkim pod wpływem liberałów, odbiegała od tradycyjnych nauk sztuki wojennej. Eisenhower generalnie powstrzymał Eisenhowera prezydenta przed bezpośrednim zaangażowaniem militarnym w Wietnamie. Wszystkie modne teorie strategii „wojny ograniczonej”, „wojny przeciwko wywrotowcom” i „pacyfikacji”, jakie zrodziły się w okresie administracji Kennedy'ego i Johnsona, wyklinały tego konserwatystę,

który znał się na zasadach sztuki wojennej dużo lepiej niż jego następcy.

O ile wojna wietnamska była klasyczną wojną liberałów, o tyle wojna w Zatoce Perskiej w 1991 r. była klasyczną wojną konserwatystów. George Bush wiedział, co leży w żywotnym interesie Ameryki – zapewnienie, by wroga potęgą nie zdobyła hegemonii nad Zatoką Perską. Postawił on sobie zgodny z owym interesem wyraźny cel militarny. Udzielił siłom zbrojnym USA przeogromnego wsparcia moralnego, politycznego i materialnego, jakiego potrzebowały one, by osiągnąć ów cel szybko i przy minimalnych stratach wśród Amerykanów i sojuszników. A potem – osiągnąwszy swój cel w postaci wyrzucenia sił irackich z Kuwejtu – zatrzymał się. Zasady, które doprowadziły do zwycięstwa w Zimnej Wojnie oraz w wojnie w Zatoce Perskiej, równie dobrze nadają się do stosowania i dzisiaj. Zasady te powinien prezydent Clinton dobrze przestudiować, jeżeli ma nadzieję na odzyskanie przez jego administrację poważania w kraju i za granicą.

Nie ma żadnej wielkiej zagadki w tym, dlaczego konserwatyści, tacy jak Ronald Reagan i George Bush, byli w polityce zagranicznej lepsi od liberałów, takich jak Bill Clinton. Konserwatyści wierzą w Amerykę bardziej niż liberałowie. Są bardziej staranni w określaniu i ochronie amerykańskich interesów. Konserwatyści mają głębsze zrozumienie tego, gdzie i jak stosować siłę militarną. Uważają oni, że Ameryka powinna sprawować światowe przywództwo, podczas gdy liberałowie uważają, że Ameryka powinna podążać za swoimi sojusznikami i Narodami Zjednoczonymi. Konserwatyści sceptycznie podchodzą do utopijnego nastawienia liberałów. Mają też konserwatyści głębsze niż liberałowie zrozumienie tego, jak szerzyć demokrację za granicą.

Konserwatyści wierzą w Amerykę bardziej niż liberałowie

Konserwatyści wierzą w silną obronę narodową. Są oni przeświadczeni, że należy zachowywać potęgę Ameryki nie tylko w celu ochrony amerykańskich interesów, lecz również dla zapewnienia postępów demokracji i stabilności międzynarodowej za granicą. W przeciwnieństwie do tego liberałowie nie darzą amerykańskiej potęgi zaufaniem. Osłabiają obronność Ameryki głębokimi cięciami budżetowymi i próbują krępować amerykańskie działania za granicą poprzez uwikłanie dyplomacji USA w sieć stosunków wielostronnych.

Liberałowie odczuwają głęboką i nieodpartą potrzebę uzyskania aprobaty Narodów Zjednoczonych przed podjęciem przez Stany Zjednoczone działań militarnych. Ukryty sens tego jest oczywisty: poparcie ze strony narodu amerykańskiego i jego wybranych przedstawicieli nie wystarcza. Militarne działania USA za granicą są dla liberałów nielegalne, jeżeli nie mają aprobaty Narodów Zjednoczonych.

Niektórzy liberałowie chcą również oddać amerykańskie siły zbrojne pod komendę Narodów Zjednoczonych. Mając poczucie winy na tle historii jednostronnych działań USA, które, ich zdaniem, doprowadziły do nadużywania siły, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, chcą, by amerykańska potęga była trzymana w ryzach przez ONZ. Mają oni szczególną słabość do operacji pokojowych ONZ: pomagając innym narodom zachowywać pokój, Ameryka, ich zdaniem, nie narzuca innym narodom swej woli i swoich interesów. Jest im dużo wygodniej, gdy decyzje w sprawie wprowadzenia do akcji oddziałów USA są podejmowane przez biurokratów ONZ i obcych wojskowych, a nie przez amerykańskiego prezydenta.

Owo poczucie winy wyraźnie przejawia się również w postawie liberałów wobec sprawy kontroli zbrojeń. Podejście konserwatystów do kontroli zbrojeń polega na tym, by zredukować najbardziej niebezpieczne arsenały przeciwników Ameryki. Podejście liberałów – na tym, by ograniczyć poziom zbrojeń w całym świecie, bez różnicy w traktowaniu broni USA oraz broni przeciwników Ameryki.

Wskazuje to na ukryty cel: liberałowie chcą nałożenia ograniczeń na militarną potęgę Ameryki. Na przełomie lat 70. i 80. liberałowie popierali porozumienie SALT II w sprawie kontroli broni strategicznych, które postawiłoby Stany Zjednoczone w gorszej sytuacji strategicznej w stosunku do Związku Sowieckiego.

Obecnie Bill Clinton i liberałowie w Kongresie chcą zakazać USA prób nuklearnych. Prezydent zastanawia się nawet nad

pozbawieniem Ameryki naziemnych wyrzutni rakietowych. Obcina on budżety amerykańskich laboratoriów uzbrojenia nuklearnego, w których projektowano broń, jaka przyczyniła się do wygrania Zimnej Wojny. Ciągłe trzymać się przestarzałego układu z 1973 r. w sprawie pocisków przeciwbalistycznych. Układ ten nie pozwala Stanom Zjednoczonym na budowę skutecznej obrony przeciwko pociskom balistycznym z Chin, Korei Północnej, Iranu oraz innych krajów budujących potencjał nuklearny.

Konserwatyści są bardziej staranni od liberałów w określaniu i ochronie amerykańskich interesów

Jest ogólną prawidłowością, że konserwatyści argumentują, iż siła militarna USA powinna być używana wyłącznie dla obrony żywotnych interesów. Owe żywotne interesy obejmują obronę amerykańskiego terytorium, zapobieganie większemu zagrożeniu dla Europy, Azji Wschodniej i Zatoki Perskiej ze strony jakiegś wrogiej potęgi, powstrzymywanie wrogiej interwencji z zewnątrz w sprawy półkuli zachodniej, ochronę amerykańskich obywateli i amerykańskiej własności w krajach zamorskich oraz utrzymywanie dostępu do zagranicznych rynków i podstawowych zasobów naturalnych, takich jak ropa naftowa.

Może zdarzać się niekiedy, że konserwatyści dopuszczają ograniczone użycie siły z powodów czysto humanitarnych, np. dla powstrzymania aktu ludobójstwa za granicą. Postępowanie takie należy jednak wyraźnie postrzegać jako wyjątek od reguły. W ogólnym przypadku siły USA nie powinny być używane, o ile nie jest zagrożony jakiś możliwy do wyraźnego określenia interes dotyczący bezpieczeństwa. W przeciwnym wypadku kraj będzie wikłany w militarne awantury, dla których, na dalszą metę, nie da się utrzymać społecznego poparcia. Stosowanie dla danej operacji militarnej „testu interesu narodowego” to dobry sposób na to, by zmierzyć głębie społeczne poparcie w razie trudności w jej prowadzeniu. Jeżeli przywódcy USA nie potrafią jasno i w przekonujący sposób pokazać, jakie znaczenie ma dana operacja dla interesu narodowego, powinno to być sygnałem, że w rzeczywistości nie chodzi tu o nic ważnego i że interwencja prawdopodobnie nie znajdzie poparcia, gdy zacznie rosnąć strata i gdy interwencja zacznie się załamywać.

Zgodnie z tymi wytycznymi, wojna USA przeciwko Irakowi w 1991 r. była usprawiedliwiona. W żywotnym interesie Ameryki leży zapobieganie zdobyciu przez wroga potęgę lub blok potęg panowania nad strategicznymi zasobami ropy w Zatoce Perskiej. Gdyby Saddamowi puszczono płazem inwazję Kuwejtu, mógłby on się ubiegać o hegemonię w regionie. Ponieważ, jak się okazało, próbował on zdobyć broń nuklearną, nie przywołany do porządku Irak mógłby stać się bardzo groźny dla bezpieczeństwa USA. Gdyby pozwolono mu wyposażać się w broń nuklearną, Saddam zagroziłby nie tylko swoim sąsiadom, lecz może za dziesięć lat nawet terytorium Stanów Zjednoczonych z pomocą pocisków dalekiego zasięgu. W wyniku wojny siła Saddama została sprowadzona do właściwego poziomu i niezależnie od jego okazjonalnej wojowniczości zapobieżono wyłaniającym się zagrożeniom dla rejonu Zatoki i dla strategicznych interesów USA.

Konserwatysta nie dokonywałby jednak inwazji na Haiti. Żaden żywotny interes USA nie był zagrożony przez rzezimieszków i kleptokratów, którzy obalili Jean-Bertranda Aristide'a. Nikt nigdy na serio nie przekonywał, że Haiti stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Ameryki. Strumień uchodźców słabł w tygodniach poprzedzających inwazję, tak że nie było również zagrożenia dla wybrzeży Florydy. Aristide, choć legalnie wybrany, nie był prawdziwym demokratą, w czasie gdy pozostawał u władzy. Wielokrotnie lekceważył on demokratycznie wybrany parlament i był zwolennikiem terroru wobec własnych obywateli.

Strategiczne gołębie

Liberałowie natomiast postępowali dokładnie na odwrót. Sprzeciwiali się przystąpieniu do wojny z Saddamem, a sprzyjali inwazji na Haiti. Są oni strategicznymi gołębiami, a humanitarnymi jastrzębiami. Liberałowie uważają, że militarne interwencje USA są usprawiedliwione tylko wtedy, gdy są ograniczone pod względem celów i długotrwałości oraz popierane przez Narody Zjednoczone, służą jakiegś liberalnej sprawie międzynarodowej i nie działają na rzecz interesów USA w sposób

jednostronny, a w niektórych przypadkach w ogóle. Na tej zasadzie liberałowie są jastrzębiami na Haiti, w Bośni i Ruan-dzie, czyli w przypadkach wymagających interwencji militarnej jedynie na drobną skalę, ciesząc się osłoną w formie aprobaty ONZ i nie służących żadnemu jasno określone interesowi strategicznemu Stanów Zjednoczonych. Są oni jednak gołębiami, gdy przychodzi do stawiania czoła Północnej Korei, Irakowi, Iranowi (przed wojną w Zatoce Perskiej) lub innym wrogim potęgą zagrażającym żywotnym interesom USA.

12 stycznia 1991 r. 179 demokratów w Izbie Reprezentantów i 45 w Senacie głosowało przeciwko użyciu siły w Zatoce Perskiej w celu odparcia napaści Saddama na Kuwejt. „Życie ani jednego Amerykanina nie powinno być poświęcone w wojnie o cenę ropy naftowej” – grzmiał senator Ted Kennedy. Senator Joe Biden dodawał: „nie da się utrzymać żadnego argumentu za tym, jakoby jakiś żywotny interes Ameryki był obecnie zagrożony [w Zatoce Perskiej]. Owszem, mamy swoje interesy na Bliskim Wschodzie. Pragniemy podtrzymać swobodny przepływ ropy. Pragniemy działać na rzecz stabilności, z bezpieczeństwem Izraela włącznie. Nie usłyszeliśmy jednak ani jednego przekonującego argumentu za tym, że jakkolwiek żywotny interes Ameryki wchodzi tu w rachubę w sposób zmuszający nas do wojny”.

Po wielkim zwycięstwie amerykańskich sił zbrojnych w wojnie w Zatoce liberałowie wskoczyli na wóz z orkiestrą, odkrywając po fakcie strategiczne interesy w Zatoce Perskiej. Niewielu liberałów skarżyło się, gdy w październiku 1994 r. Clinton pchnął nad Zatokę Perską dziesiątki tysięcy żołnierzy USA w odpowiedzi na koncentrację oddziałów Saddama nad granicą z Kuwejtem. Mimo tego nagłego zwrotu pierwotny sprzeciw liberałów wobec wojny w Zatoce Perskiej lepiej odpowiadał ich prawdziwej naturze niż spóźnione nawrócenie się na twardszą politykę wobec Saddama Hussejna.

Obieranie tego typu gołębiego kursu w pełni przystaje do ataków przypuszczanych przez liberałów na budżety obronne USA. Uważając że konserwatyści wyolbrzymiają zagrożenia i że niewiele jest interesów strategicznych wartych ryzyka wojny, liberałowie potrafili z łatwością racjonalizować obniżanie poziomu wydatków obronnych. Ich argumentacja odnosi sukcesy od czasu objęcia urzędu przez Billa Clintona. Podczas gdy jako kandydat Clinton obiecywał obcięcie pięcioletniego planu obronnego George’a Busha o 60 mld dolarów, po objęciu urzędu nowy prezydent szybko podwoił tę kwotę do wysokości 120 mld dolarów. Na domiar złego, Generalny Urząd Rachunków twierdzi, że pięcioletni budżet obronny Clintona jest o 150 mld dolarów za mały w stosunku do dokonanego przez jego własną administrację „dogłębnego przeglądu” potrzeb obronnych USA.

Konserwatystów cechuje głębsze zrozumienie tego, kiedy i jak stosować siłę militarną

Liberałowie uwielbiają powolny ruch i ograniczoną eskalację militarną, jaka doprowadziła ostatecznie do klęski w wojnie wietnamskiej. Uważają oni, że siła militarna powinna być używana bardziej do „budowania państw” niż do wygrywania wojen. Stosowano to błędne podejście, rozszerzając operację militarną w Somalii, a obecnie próbuje się znów robić to samo na Haiti. Taki lekkomyślny interwencjonizm rodzi ryzyko militarnego niepowodzenia i wciągnięcia Ameryki w niepotrzebne wojny.

To liberałowie zabiegali o inwazję na Haiti, oni też nalegali na eskalację militarnego zaangażowania USA w operacjach pokojowych ONZ w Somalii, ale to oni jako jedni z pierwszych nawołują do wycofania się z tych samych miejsc, gdy tylko sprawy przybierają zły obrót. Tak np. w listopadzie 1992 r. kongresmen John Lewis, demokrat z Georgii, był prawdziwym jastrzębiem w sprawie interwencji militarnej w Somalii, mówiąc, że „Narody Zjednoczone muszą przywrócić porządek”. W niespełna rok później jednak Lewis dostał pietra i przekonywał, że Stany Zjednoczone powinny się wycofać, ponieważ nie określiły „jasnych i osiągalnych celów swojego zaangażowania w wysiłkach pokojowych ONZ”.

Zbyt skorzy do interweniowania w krajach nie posiadających znaczenia strategicznego, liberałowie są zarazem zbyt skorzy do ustępliwości tam, gdzie Stany Zjednoczone mają swoje żywotne interesy. Tak np. żywotne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych

ma to, by Korea Północna nie zdobyła broni atomowej i by ów ostatni bastion stalinizmu nie zburzył delikatnej równowagi sił w Azji przez podbój lub zastraszenie Korei Południowej. Swoją pełną wahań i niekonsekwencji postawą w negocjacjach Clinton darował północnym Koreańczykom cenny czas na kontynuowanie pracy nad własnym programem broni jądrowych, sprawiając, być może, że zdobycie przez nich zdolności jądrowych jest już faktem dokonanym. Phenian stał się dużo bardziej wojowniczy i nieobliczalny, ponieważ jego przywódcy wyczuli, że Clinton daje sobą pomiatać. Pojawiły się napięcia na Półwyspie Koreańskim, wzrosła groźba wojny i ucierpiała wiarygodność USA w Azji. Gdy w końcu dogadano się z północnymi Koreańczykami, Stany Zjednoczone były zmuszone do poczynienia przynależących im ujemnych ustępstw, które wyrządzają szkodę ich stosunkom z Koreą Południową, lecz w żaden sposób nie zapewnijają tego, że Północna Korea zrezygnuje w końcu z posiadania zdolności nuklearnych.

Konserwatyści uważają, że misje wojskowe powinny mieć jasno wytyczone, tradycyjne cele militarne: zniszczenie nieprzyjaciela i – w razie konieczności – zajęcie nieprzyjacielskiego terytorium. Ostateczny cel ma charakter polityczny – jest nim zmuszenie nieprzyjaciela do poddania się woli Stanów Zjednoczonych. Siły zbrojne USA powinny być dość duże i przygotowane na to, by uzyskać przewagę w walce i wygrać wojnę. Powinny one być dość duże również w czasie pokoju, by w pierwszej kolejności odstraszając agresora od rzucania wyzwania interesom USA. Potencjalnie odstraszająca zdolność sił zbrojnych USA nie sprowadza się jedynie do ich wielkości, lecz zależy również od wiarygodności i woli prezydenta w zakresie ich używania ochrony amerykańskich interesów.

Kontrastuje to z liberalnymi pojęciami na temat stosowania siły. Liberałowie są zafascynowani ideą, że siła zbrojna może być używana w sposób ograniczony dla osiągnięcia celów pozamilitarnych, takich jak przywrócenie porządku społecznego na Haiti. Osiągnąwszy swoje apogeum podczas wojny wietnamskiej, idea wojny ograniczonej odżywa dziś w liberalnej fascynacji operacjami pokojowymi ONZ. Liberałowie wzdragają się przed używaniem siły w sposób zdecydowany, lecz – o dziwo – mają skłonność do stosowania jej dla osiągnięcia szeroko zakrojonych celów, takich jak budowanie państwa czy przywracanie demokracji. Są oni rzecznikami stosowania ograniczonej siły do osiągnięcia nieograniczonych celów. Jak widzieliśmy w Somalii, może to prowadzić do żalosnej porażki.

Liberałowie mają również błędne pojęcie na temat odstraszania. W okresie Zimnej Wojny liberałom trudno było uwierzyć w to, że broń jądrowa mogłaby być kiedykolwiek użyta. W głębi ducha większość liberałów uważa, że odstraszanie to w istocie wielka błąka. Skupiają się oni więc bardziej na próbach redukcji arsenałów nuklearnych drogą kontroli zbrojeń niż na budowaniu przez USA wiarygodnej siły odstraszającej, jak chcą konserwatyści. Sądząc, że wojna nuklearna jest „nie do pomyślenia”, liberałowie wzdragali się przed planowaniem na wypadek jej wybuchu. Rezultatem tego była słaba presja ze strony liberałów w kierunku osłabienia odstraszania nuklearnego, które przyczyniło się nie tylko do utrzymania pokoju w okresie Zimnej Wojny, lecz i do popchnięcia Związku Sowieckiego ku samounicestwieniu.

Obawiający się broni amerykańskich tak samo jak obcych (a nawet bardziej) liberałowie byli pedantami w wymuszaniu przestrzegania przez USA porozumień w sprawie kontroli zbrojeń, lecz zawsze z chęcią udzielali Sowiecom dobrodziejstwa wątpliwości, gdy o łamanie porozumień oskarżano tych ostatnich. Rosjanie przyznają obecnie, że w przypadku radaru w Krasnojarsku i epidemii owrzodzeń w Świerdłowsku wystąpiło pogwałcenie kontroli zbrojeń, lecz w czasie gdy to się działo, liberałowie lekceważyli sprawę, przypisując te przypadki nadmiarowi wyobraźni ze strony konserwatywnych jastrzębi. W sprawie radaru w Krasnojarsku liberałowie przyjęli wręcz stanowisko negocjacyjne Sowieców za własne, broniąc go niczym w wielkim procesie sądowym.

Konserwatyści uważają, że Ameryka powinna sprawować światowe przywództwo, podczas gdy liberałowie chcą, by Stany Zjednoczone podążały za sojusznikami i Narodami Zjednoczonymi. Konserwatyści wiedzą też, że Ameryka będzie mocniejsza, mając mocnych i pewnych sojuszników, którzy podzielają

nasze podstawowe wartości. To konserwatyści w dziedzinie polityki zagranicznej, tacy jak Truman i Eisenhower, zbudowali NATO i mocne sojusze z takimi krajami, jak Japonia, Izrael, Korea Południowa i Republika Chińska. Ronald Reagan ożywił NATO, stojące na skraju zapadli po rządach administracji Cartera, i przeprowadził sojusz zachodni przez kryzys euromrakietowy w połowie lat 80. George Bush wykuł potężną koalicję międzynarodową, zmierzając ku zwycięstwu w Zatoce Perskiej.

Dla konserwatystów militarna siła sojuszników jest dodatkiem do sił amerykańskich, a nie ich namiastką. Bez silnej Ameryki, argumentują konserwatyści, system wielostronny nie zda egzaminu. Konserwatyści postrzegają Stany Zjednoczone jako nieodzownego przywódcę sojuszników. Żadna inna siła nie ma zdolności ani woli przewodzenia zachodniemu światu.

Liberałowie nie podzielają tego poglądu. Unikają oni amerykańskiego przywództwa, mając skłonność do ustępowania sojusznikom Ameryki. Tak było z pewnością w sprawie wojny w Bośni, gdy prezydent Clinton powtarzał, że jest skrupowany życzeniami sojuszników. Zamiast przedstawić stanowisko USA, zapraszając sojuszników na pokład, Clinton w ubiegłym roku prosił Europejczyków o objęcie przywództwa. Gdy ci tego nie uczynili, Clinton podbił stawkę w Bośni, obiecując akcję USA. Odmówił jednak objęcia przywództwa. Efektem tego były zamieszanie, utrata wiarygodności przez Amerykę i bezlitosna wojna na Bałkanach.

Również Organizacja Narodów Zjednoczonych, właściwie wykorzystywana, mogłaby stanowić dopełnienie siły i dyplomacji USA. George Bush np. skutecznie posłużył się Narodami Zjednoczonymi dla zmobilizowania międzynarodowej koalicji przeciwko Saddamowi Hussejnowi. Konserwatyści nigdy jednak nie pozwoliliby na to, by Narody Zjednoczone zakładały weto wobec działań USA lub określały politykę Ameryki, do czego dopuścił prezydent Clinton w Somalii. Interwencja w Somalii zakończyła się fiaskiem, a 34 żołnierzy amerykańskich niepotrzebnie zginęło, gdy Clinton, idąc za przewodem Narodów Zjednoczonych, zmienił charakter misji, przechodząc od pomocy humanitarnej do budowania państwa.

Najnowszym wynalazkiem myśli liberalnej w odniesieniu do instytucji wielostronnych jest szkoła myślenia, mówiąca o tzw. bezpieczeństwie kooperatywnym. Zwolennicy tej szkoły zakładają, że bezpieczeństwo międzynarodowe może być zagwarantowane tylko na zasadzie współpracy wszystkich państw, włącznie z tymi, które mogą być postrzegane jako nieprzyjaciele Stanów Zjednoczonych. Idea ta została wyłożona w książce opublikowanej przez Instytut Brooklinga w roku 1992. Jednym z autorów tej książki był William J. Perry, będący obecnie sekretarzem obrony. Perry i jego koledzy utrzymują, że: „Naczelnym celem przedsięwzięć bezpieczeństwa kooperatywnego jest zapobieganie wojnie, przede wszystkim poprzez zapobieganie gromadzeniu środków umożliwiających skuteczną agresję i uwalnianie w ten sposób zagrożonych państw od konieczności podejmowania własnych kontrprzygotowań. Bezpieczeństwo kooperatywne przesuwając zatem środek ciężkości planowania bezpieczeństwa z przygotowań do odpowiadania zagrożeniom na zagrożenie w kierunku zapobiegania powstawaniu takich zagrożeń – z odstraszania agresora w kierunku utrudnienia przygotowań do agresji. W procesie tym ulega również ograniczeniu potencjalnie niszczycielski charakter konfliktu zbrojnego – zwłaszcza w odniesieniu do użycia broni masowej zagłady. Bezpieczeństwo kooperatywne różni się od tradycyjnej idei bezpieczeństwa zbiorowego (np. sojusz zachodni), tak jak profilaktyka medyczna różni się od leczenia ostrych dolegliwości. Bezpieczeństwo kooperatywne ma zapewniać, że zorganizowana agresja nie rozpocznie się na dowolnie wielką skalę. Zarazem jednak bezpieczeństwo kooperatywne jest przedsięwzięciem służącym odstraszaniu agresora na zasadzie kontrzagrożenia i odparcia ewentualnej napaści”.

Autorzy tej publikacji przyrównują odstraszanie do „leczenia ostrych dolegliwości”. Innymi słowy, utrzymują oni, że w czasach po zakończeniu Zimnej Wojny nie ma w rzeczywistości wielkiej potrzeby posiadania dostatecznie dużych sił zbrojnych w celu odstraszania agresora. Militarna gotowość nie jest obecnie, ich zdaniem, rzeczą najważniejszą, ponieważ koniec Zimnej Wojny przyniósł ograniczenie napięć, umożliwiając większą współpracę między państwami. Militarna gotowość ma być

w istocie dużo mniej ważna od międzynarodowej współpracy, która, w opinii Perry'ego i innych autorów, sama przez się zmniejsza zagrożenia dla bezpieczeństwa Ameryki. Według Perry'ego, najlepszym sposobem zwiększenia bezpieczeństwa USA jest zespolenie świata w Narodach Zjednoczonych w celu redukcji broni, organizowania operacji pokojowych i ogólnie – współpracy na wszystkich poziomach bezpieczeństwa międzynarodowego. Gdy tak się stanie, siły zbrojne USA będą mogły być drastycznie ograniczone wobec polegania przez Waszyngton w większym stopniu na sojuszników, Narodach Zjednoczonych i zespolonych inicjatywach dyplomatycznych na rzecz swojego bezpieczeństwa.

Perry i inni jemu podobni nigdy nie wyjaśnili, jak zamierzają zapobiegać „gromadzeniu środków umożliwiających skuteczną agresję”, co ma stanowić istotę „bezpieczeństwa kooperatywnego”. Z pewnością nie robiono by tego z pomocą tradycyjnych technik odstraszania, ponieważ Perry uznał je za przestarzałe. Pozostaje współpraca z sojusznikami i Narodami Zjednoczonymi. Ale i z tego nic nie będzie. Sojusznicy Ameryki najczęściej mają odmienne niż prezydent Clinton wyobrażenie na temat współpracy. Europejczycy są oburzeni jego podejściem do wojny w Bośni, a sojusznicy w Azji rozczarowani jego zmianą postawy wobec Chin i jego układaniem się z północnymi Koreańczykami. Co się zaś tyczy Narodów Zjednoczonych, to po Somalii i Ruandzie nawet administracja Clintona nie ma wielkich nadziei na ustanowienie Nowego Porządku Światowego za pośrednictwem ONZ. „Bezpieczeństwo kooperatywne” okazuje się w końcu pustym sloganem. To typowy liberalny frazes, obiecujący więcej niż może przynieść i próbujący osiągnąć nieograniczone cele ograniczonymi środkami.

Konserwatyści sceptycznie traktują utopijność liberałów

Mają też konserwatyści realistyczny stosunek do sprawy granic władzy rządu. Filozofia ta ma wpływ na sceptycyzm, z jakim wielu konserwatystów odnosi się do praw człowieka i programów pomocy w wydaniu Narodów Zjednoczonych i Agencji USA ds. Rozwoju Międzynarodowego, głównej amerykańskiej agencji zajmującej się dozowaniem pomocy zagranicznej. Konserwatyści uważają, że państwo nie potrafi lepiej radzić sobie z inżynierią społeczną za granicą niż w kraju.

W przeciwieństwie do nich, liberałowie przejawiają wysokie, utopijne niemal, oczekiwania w stosunku do rządu. Liberałowie uważają, że państwo jest władne realizować zamierzone przez siebie cele w społeczeństwie. Takie nastawienie wobec państwa rzutuje na ich sposób widzenia polityki zagranicznej. Uważają oni, że rząd USA zdolny jest realizować określone cele również w społeczeństwach zagranicznych. Ta sama wiara w państwo, która inspirowała ich oddanie na rzecz programów masowej opieki społecznej w kraju, wpływa również na ich postawę wobec pomocy zagranicznej. Dla liberałów pomoc zagraniczna to międzynarodowa opieka socjalna – sposób wtórnego rozdziału dochodów, od bogatych do biednych.

Pomoc zagraniczna stanowi dla liberałów okazję do promowania ich ulubionych tematów na arenie międzynarodowej. Od Departamentu Stanu i Pomocy oczekuje się naprawiania wszelkiego rodzaju zła w krajach zagranicznych. Tak np. ustawodawstwo USA w zakresie pomocy zagranicznej stawia przed amerykańską pomocą zagraniczną zadanie krzewienia „harmonii pomiędzy różnymi grupami rasowymi, religijnymi i etnicznymi”. Wymaga się także, by amerykański dyrektor Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju do formułowanych projektów i programów (pomocy), jako ich element składowy, włączył „wzrost ekonomicznej siły kobiet”. Od programów tych oczekuje się nawet powstrzymania dyskryminacji ludzi upośledzonych przez rządy zagraniczne.

Zadania te są dla rządu USA wystarczająco trudne do zrealizowania w granicach Stanów Zjednoczonych, a już niemożliwe do wypełnienia w społeczeństwach zagranicznych, nad którymi Stany Zjednoczone nie mają absolutnie żadnej władzy. Niemniej co roku liberałowie wymagają od amerykańskich agencji rozdzielających pomoc zagraniczną coraz więcej. Corocznie Kongres przy ustalaniu budżetu pomocy zagranicznej USA wywiera naciski w interesie faworyzowanej przez siebie sprawy. Jednego roku chodzi o przeciwdziałanie ograniczeniom praw człowieka

w Indiach i Zairze. W następnym roku robi się to samo w odniesieniu do Chin i Indonezji. Przesłanki piętrzą się w miarę tego, jak narasta wołanie o więcej pieniędzy. Efektem tego jest wielkie marnotrawstwo przy bardzo niewielkim postępie społecznym za granicą.

Konserwatyści lepiej niż liberałowie rozumieją, jak szerzyć demokrację za granicą

Zanurzeni w historii i posiadający głębsze zrozumienie natury ludzkiej, konserwatyści mają przemyślany i sprawdzający się w działaniu pogląd na temat krzewienia demokracji i praw człowieka za granicą. Konserwatyści wiedzą, że demokracja to coś więcej niż same tylko wolne wybory; że jest to system rządzenia zakorzeniony w instytucjach, etyce i wartościach społecznych, na których rozwinięcie się potrzeba dużo czasu. Konserwatyści nie próbują sztucznie kreować demokracji w zagranicznych społeczeństwach, lecz raczej starają się sprzyjać powstawaniu instytucjonalnej podbudowy, w ramach której mogłaby się ona rozwijać. Patrząc dalekowzrocznie, wiedzą oni, że demokracja i poszanowanie praw człowieka rzadko mogą być narzucone jakiemuś krajowi z zewnątrz, i to tylko za wysoką cenę, i tylko w bardzo rzadkich okolicznościach.

Liberałowie posiadają bardzo powierzchowną i wąską definicję demokracji. Rzadko się do tego przyznając, zachowują się oni tak, jak gdyby demokracja sprowadzała się do samych wolnych wyborów. Tak np. utrzymują, że Jean-Bertrand Aristide jest prawowitym przywódcą Haiti, nawet jeżeli jego krótkie rządy były w dużym stopniu niedemokratyczne, a Haiti nie ma w praktyce żadnych instytucji demokratycznych. Sugerowanie, że powrót Aristide'a do władzy na ostrzu bagnietów służy sprawie demokracji na Haiti, graniczy z groteską. Większość z tego, co mogą zrobić Stany Zjednoczone, polega na przywróceniu porządku publicznego i żywieniu nadziei, że sytuacja uspokoi się na tyle, by rząd Aristide'a odzyskał nad nią kontrolę. Nie oznacza to jednak „przywrócenia demokracji”.

Na tej samej zasadzie liberałowie reprezentują wąskie i rodzące porażki podejście do sprawy krzewienia praw człowieka.

Tak np. liberałowie chcą odebrać Chinom klauzulę największego uprzywilejowania z powodu naruszania przez nie praw człowieka. Mimo to, w efekcie półtorarocznych pouczeń ze strony administracji Clintona rząd chiński nigdy w istotny sposób nie poprawił swojego konta w zakresie przestrzegania praw człowieka. Są nawet dowody na to, że łamanie praw człowieka nasiliło się w wyniku polityki Clintona. Gdyby liberałowie postawili na swoim, nastąpiłoby przecięcie zewnętrznych kontaktów umożliwianych przez klauzulę największego uprzywilejowania; Chińczycy kontynuwaliby miażdżenie dysydentów dla udowodnienia, że Stany Zjednoczone nie mogą nimi komenderować, zaś amerykańskie przedsiębiorstwa zostałyby w nieuczciwy sposób wyłączone z robienia interesów w Chinach, z pozostawieniem pola dla Japończyków, Koreańczyków, Tajwańczyków i Europejczyków. Bez żadnego sensownego powodu Amerykanie sami w ten sposób postrzeliliby się w nogi.

W kwestii praw człowieka konserwatyści różnią się od liberałów również w inny sposób. Konserwatyści wiedzą, że amerykańska siła zbrojna odgrywa ogromną rolę w zabezpieczaniu systemów demokratycznych na świecie. Ameryka jest wzorem dla rodzących się demokracji, ale dla sojuszników USA, z których większość stanowią państwa demokratyczne, jest również protektorem. W odróżnieniu od liberałów, konserwatyści podkreślają więc znaczenie amerykańskiej siły zbrojnej dla sprawy demokracji na świecie.

U podłoża różnic dzielących konserwatystów i liberałów w kwestii praw człowieka leży odmienne pojmowanie moralności. Konserwatyści podkreślają moralne konsekwencje działań ludzkich; liberałowie podkreślają czystość intencji, ignorując często konsekwencje lub koszty. Liberal chce „coś zrobić” dla ulżenia ludzkiemu cierpieniu za granicą. Konserwatyści, nie zadowolając się samymi deklaracjami i patrząc dalej, starają się w krajach zagranicznych sprzyjać rozwojowi takich instytucji i struktur, które mogłyby nieść ulgę w cierpieniach. Tak więc gdy liberałowie karcili Chińczyków za łamanie praw człowieka, konserwatyści popierali utrzymywanie stosunków handlowych, by tworzyć zachętę dla liberalizacji gospodarki i decentralizacji

władzy politycznej, co na dłuższą metę będzie sprzyjać również wolności politycznej i religijnej. (Dla odmiany w przypadku Kuby, gdzie nie było takiej liberalizacji czy decentralizacji, konserwatyści wolą utrzymywanie przez USA embarga.)

Konserwatystom nie wystarczą dobre intencje. Konserwatyści chcą wiedzieć, jakie będą konsekwencje militarnego zaangażowania USA, a jeżeli do niego dojdzie, to jakie będą jego koszty i czy w grę wchodzi tu interesy Ameryki. Dla odmiany liberałowie chcą upewnienia się, że ich serca są po „słusznej” stronie. Zwróćmy dla przykładu uwagę na takie oto usprawiedliwienie inwazji na Haiti, podane przez kongresmena Johna Josepha Moakleya, demokratę z Massachusetts:

„Zobowiązuję się raz jeszcze zrobić wszystko, co w mojej mocy, by przynieść prawa człowieka i obywatela na Haiti – kraj, który cierpiał tak długo i tak bardzo. Jest to kraj, który pod wieloma względami ma dużo wspólnego z krajem, z którego przybyła moja rodzina, z własną smutną historią ekonomicznego wyzysku i brutalnych represji politycznych. Nauka dla nas wszystkich tutaj i teraz, tak jak pamiętamy doktora Kinga i patrzymy z nadzieją w przyszłość, brzmi, że cierpienie jest czymś powszechnym i że naszym zadaniem jest wsłuchiwać się w głosy nie słuchanych i walczyć o to, co sprawiedliwe”.

Dla Moakleya inwazja na Haiti jest moralnie równoważna marszom na rzecz praw obywatelskich. Podszuwając się pod dziedzictwo Martina Luthera Kinga, który wyznawał działanie bez użycia przemocy, Moakley przywołuje potężne symbole na usprawiedliwienie czegoś, co jest w istocie krwawym apelem o działanie, w którym mogą ginąć Amerykanie pospołu z Haitińczykami. Ponieważ jednak sprawa jest słuszna, o takich jej aspektach, jak koszty i szanse powodzenia, nawet się nie wspomina. W istocie nie mają one żadnego znaczenia. Moakley nigdy nie pyta, czy inwazja na Haiti wyjdzie Ameryce na dobre ani czy jego sprawa warta jest tego, by ryzykować życie Amerykanów.

Pamiętajcie o naszych korzeniach

Wyborcy w listopadzie nie dokonali po prostu odrzucenia Partii Demokratycznej, takiej jaką uosabia prezydent Clinton. Odrzucili się oni od całego światopoglądu. Wyborcy odrzucili cechujący clintonowców brak zaufania do Ameryki, ich niedbałość w określaniu interesów Ameryki, ich na przemian lekkomyślnie zuchwałe i nadwrażliwe podejście do sprawy użycia sił zbrojnych USA, ich brak potwierdzenia dla przywódczej roli Ameryki, ich utopijność, ich moralną pozę. Nowo wybrani republikanie w Kongresie obrócili wniwecz wiele zła wyrządzonego przez ekipę Clintona, starając się podnieść wydatki na obronę, wrócić do sprawy inwazji na Haiti i zapewnić, że oddziały amerykańskie nie będą podlegać dowództwu Narodów Zjednoczonych. Przez następne dwa lata zasiadający w Kongresie republikanie (i niektórzy demokraci) będą mieć okazję do dalszego wyjaśnienia sprawy różnic między konserwatyzmem a liberalizmem w polityce zagranicznej. Czyniąc tak, najlepiej zrobią, pamiętając o swoich korzeniach. To ich idee wygrały Zimną Wojnę i to ich idee zapewnią również pokój w czasach po zakończeniu Zimnej Wojny.

Liberałowie wzdragają się przed stosowaniem siły, lecz, o dziwo, mają skłonność do używania dla osiągnięcia szeroko zakrojonych celów, takich jak budowanie państwa czy przywracanie demokracji.

Zbyt skorzy do interweniowania w krajach nie posiadających znaczenia strategicznego, liberałowie są zarazem zbyt skorzy do ustępliwości tam, gdzie Stany Zjednoczone mają swoje żywotne interesy.

Kim R. Holmes
(tłum. Zbigniew Bereszyński)

Pierwodruk: Kim R. Holmes *Geo-Conservatism. Why Conservatives Are Better than Liberals at Foreign Policy* „Policy Review”, Winter 1995, nr 71, s. 38-45; przedruk za zgodą wydawcy.

Kim R. Holmes jest wiceprezesem i dyrektorem studiów nad polityką zagraniczną i obroną w fundacji „Heritage”.

Nie zrealizowane alternatywy polityczne

• rozmowa z byłym Premierem III RP Janem Olszewskim

□ **Panie Premierze, chciałbym, aby nasza rozmowa poświęcona była nie zrealizowanym alternatywom politycznym, które stały przed Polską po 1989 roku. Pierwszą z nich była podjęta przez polskie elity polityczne decyzja o przystąpieniu do rozmów przy Okrągłym Stole. Krytyka tych negocjacji przez tzw. opozycję niepodległościową przebiegała na czterech poziomach: negowano sam fakt przystąpienia do rozmów, ich formułę, skład reprezentacji oraz wynik porozumienia. Czy można było uniknąć przystąpienia do rozmów przy Okrągłym Stole? Jeżeli tak, to w jaki sposób przebiegałby proces wychodzenia z komunizmu?**

Można było oczywiście uchylić się od podjęcia rozmów, tylko trzeba powiedzieć, że w tamtym momencie po stronie tzw. opozycji mało kto decydował się zająć takie jednoznaczne stanowisko: w ogóle z nimi nie rozmawiamy. Po tzw. naszej stronie nikt na ogół nie sądził, że system komunistyczny jest już tak słaby, że dobiega swego historycznego końca i wystarczy tylko trochę poczekać, aby było już po wszystkim. Ja przynajmniej, z takimi poglądami, z takim stanowiskiem się nie zetknąłem. Mówiąc „my”, „nasza strona”, mówię oczywiście o pewnej przeniósni, ponieważ ja akurat nie byłem w tej ekipie, która przeprowadzała rokowania przy Okrągłym Stole.

□ **W tym okresie Kornel Morawiecki napisał artykuł pt. *Nie gra się z szulerem*. Zawarł w nim myśl, że jeżeli ucziwy przystępuje do gry z szulerem, to zawsze przegra. Wygrać może tylko wtedy, gdy sam zastosuje nieuczciwe chwyt, ale tym samym stanie się szulerem.**

Nie jest to zasada polityczna, ale zasada moralna. Nie rozmawiamy z nimi dlatego, bo wiadomo, że jest to układ przestępczy, bandycki, na tyle niewiarygodny moralnie i politycznie, że w ogóle z nimi nie należy negocjować, niezależnie od tego, czy są silni, czy słabi, czy mają przed sobą długą perspektywę, czy za chwilę się rozsypią. My w ogóle z nimi nie rozmawiamy.

Pan przyjął założenie, że rozważamy pewne alternatywy polityczne. Tymczasem stanowisko wyrażane przez K. Morawieckiego i Solidarność Walczącą nie stanowiło, w moim przekonaniu, żadnej alternatywy politycznej. Był to po prostu wyraz pryncypialnej postawy moralnej. Postawa ta jest niezmienna, niezależnie od zmieniających się warunków politycznych, niezależnie od tego, czy mamy rok 1945, kiedy myśleliśmy takie było bardzo szeroko rozpowszechnione, czy rok 1956.

Patrząc na to z tego punktu widzenia, w 1988/89 roku byłem wśród tych, którzy byli najbardziej krytycznie nastawieni do koncepcji rozmów z komunistami. Moje ówczesne rozumowanie było następujące: oczywiste jest, że pierestrojka rozpoczyna proces daleko idących zmian w Związku Sowieckim, których perspektyw nie można w pełni przewidzieć. Wszystko wskazuje na to, że zmiany te nie będą szły w kierunku wzmocnienia władzy komunistycznej, ale raczej w kierunku jej osłabienia. A zatem my do tych rozmów nie musimy się za bardzo śpieszyć, ponieważ z naszej perspektywy sytuacja będzie się raczej poprawiała, niż pogarszała. I tylko tyle. Powiem uczciwie, że ponieważ do wniosków płynących z mojego rozumowania nie byłem tak bardzo mocno przekonany, więc swoich krytycznych zastrzeżeń nie wyrażałem w zdecydowany sposób. Natomiast uważałem, że w ogóle uchylić się od podjęcia tych rozmów nie można, gdyż nie można było wtedy przewidzieć, że wszystko w ciągu trzech, czterech lat się rozsypie. Może byli tacy geniusze, ja ich jednak nie znalazłem.

□ **Jednakże w swojej książce *Prosto w oczy* stwierdza Pan, że gdyby nie doszło do porozumień Okrągłego Stołu w Polsce powtórzyłyby się sytuacja z listopada 1918 roku.**

Prawdopodobnie. Ale wie pan, w tym momencie mówimy o pewnym obiektywnym stanie rzeczy. A ja rozumiem, że Pan pytał o subiektywny stan świadomości elit czy może nawet szerzej, całego społeczeństwa. Stan obiektywny jesteśmy w stanie

ocenić ex post. Dopiero z perspektywy minionego dziesięciolecia wiemy, że stan rzeczy był wtedy taki, że nie należało do tych rozmów przystępować. Tylko że w tamtym okresie nikt po naszej stronie nie zdawał sobie z tego sprawy. W związku tym nie było dla mnie alternatywy: przystępować czy nie przystępować do rozmów. Taki był stan świadomości ówczesnych polskich elit politycznych. I w jakimś sensie Okrągły Stół był nieunikniony.

□ **Należy zatem postawić pytanie, czy rozmowy te można było prowadzić inaczej, lepiej? Swego czasu Andrzej Gwiazda w *Poza Układem* napisał artykuł o dwóch modelach rozmów: za prostokątnym stołem, gdzie siedzą naprzeciwko sobie dwie strony o jasno wyodrębnionych interesach, i za okrągłym stołem, gdzie obie strony są ze sobą wymieszane.**

Generalnie biorąc, o każdym działaniu politycznym można powiedzieć, że można je było wykonać lepiej. Nawet gdyby wykonano je bardzo dobrze, to można je jeszcze poprawić. Jest to więc dosyć płynne kryterium i o to bym kopii nie kruszył. Natomiast jest inna sprawa. Wypowiedź Andrzeja Gwiazdy o stole prostokątnym i okrągłym rozumiem w taki sposób, że niezależnie od kształtu stołu można było przystępować do negocjacji z bardzo wyraźnym założeniem: my jesteśmy przeciwną stroną, która wie, że wolno nam pójść do pewnego punktu, a dalej nie, gdyż przyjmujemy w pewnym punkcie zasadę *non possumus*. Przeciwwstawieniem jest zasada, że musimy dogadać się za wszelką cenę. Otóż tutaj rzeczywiście możemy rozważać, czy nie przekroczono granic przyzwolenia społecznego wyrażonego na podstawie ogólnego stanu świadomości społeczeństwa, które strona solidarnościowa podjęła się reprezentować. Przecież żadnego formalnego pełnomocnictwa nasza strona nie miała. Można nawet powiedzieć, że nasza strona została wybrana przez tę drugą stronę. I tutaj można postawić pytanie, czy w warunkach kiedy sami decydujemy się reprezentować społeczeństwo, zastanawialiśmy się, do jakiego miejsca mamy upoważnienie społeczne? W którym miejscu następuje przekroczenie tego nieformalnego czy domniemanego pełnomocnictwa? Można rzeczywiście rozważać, czy od samego początku wśród naszej strony nie zostało przyjęte takie założenie: nie zastanawiamy się i nie badamy, czy mamy jakieś pełnomocnictwo i jak daleko ono sięga. Wcale nie rozważamy tego, realizując własną, z góry przyjętą koncepcję: musimy się za wszelką cenę z komunistami porozumieć. I zrobimy to, niezależnie od kosztów przekroczenia tego domniemanego społecznego pełnomocnictwa.

□ **Czy sformułowanie rządu Mazowieckiego deklarującego politykę „grubej kreski” było bezpośrednią konsekwencją Okrągłego Stołu, czy też Tadeusz Mazowiecki miał jakiś wybór? Jaką rolę w tym wszystkim odegrała umowa o niekonfrontacyjnych wyborach do Sejmu?**

Prostą konsekwencją Okrągłego Stołu, tą zasadniczą, która określała nowy legalizm tego układu, była umowa o tzw. niekonfrontacyjnych wyborach. Dla stworzenia tego układu politycznego przeprowadzamy wybory, które tylko częściowo miały wolny charakter, a w zasadzie były wynikiem politycznej umowy. Z góry wiadomo, że dla drugiej strony jest zarezerwowana przewaga mandatów w głównym ciele przedstawicielskim, jakim jest Sejm, i my się na to zgadzamy. Prawdę



autor wywiadu z J. Olszewskim

powiedział, w tym miejscu miałem największe zastrzeżenia. Uważałem, że jeżeli podpisaliśmy tego rodzaju porozumienie, to sposób jego wykonania był, w moim przekonaniu, sposobem niewłaściwym. Podpisaliśmy to, w porządku. Ja nie zgodziłem się na taką koncepcję, ale to nieważne, gdyż ten, kto to podpisywał, brał to na siebie. Jednakże kiedy taka umowa o niekonfrontacyjnych wyborach została podpisana, to należało zadbać, aby nie stwarzać nawet pozorów, że jest to porozumienie dwóch stron, które dla siebie, każda z osobna i w różnym zakresie, ale tylko dla siebie rezerwują, wyłączne korzyści polityczne płynące z tego porozumienia, wyłączając z niego te osoby, grupy czy nawet całe warstwy społeczne, które w procesie negocjacyjnym nie brały udziału. W związku z tym po naszej stronie trzeba było zrobić wszystko, żeby był to wybór rzeczywiście wolny. Tego nie zrobiono. Stworzono polityczno-moralną konstrukcję nacisku psychologicznego, że oto my, reprezentacja Solidarności, przybierająca postać Komitetu Obywatelskiego, jesteśmy jedyną stroną, jedyną opozycją, która musi wystąpić razem, eliminując wszystkich, którzy się w tej formule nie mieszczą bądź nie chcą się zmieścić. W taki sposób powstały dwie sformalizowane strony w tym układzie. W moim przekonaniu, był to zasadniczy błąd, gdyż natychmiast określało to zasadniczą słabość reprezentacji społecznej, automatycznie wciągając ją w tryby systemu. Co więcej, reprezentanci naszej strony występowali w roli współnika układu stworzonego z drugą stroną, a nie naszego reprezentanta, który choć działa bez mandatu, to występuje w imieniu społeczeństwa. Był to zasadniczy błąd, który ciężko zemscił się na całym przebiegu dalszych wydarzeń.

W moim przekonaniu, problem nie polegał na przystąpieniu do Okrągłego Stołu, nie polegał nawet na tym, co przy tym Stole podpisano, ale na tym, że w momencie przeprowadzenia niekonfrontacyjnych wyborów okazało się, że społeczeństwo, ten domniemany mandatariusz, w imieniu którego występowaliśmy przy Okrągłym Stole, podczas wyborów, a zwłaszcza podczas głosowania nad tzw. listą krajową, pokazał jednoznacznie, że z komunistami nie chce mieć nic do czynienia. Jeżeli więc ten dotychczasowy niemowa, który nie mógł nam pełnomocnictwa udzielić, w wyborach zajmuje jednoznaczne stanowisko, to my, zamiast podtrzymywać drugą stronę, powinniśmy szanować wolę społeczeństwa. Tutaj dopiero możemy postawić pytanie: czy utrzymując to porozumienie i zapewniając ochronę stronie komunistycznej oraz godząc się na utrzymanie przez nią pełnego zakresu praw, mieliśmy prawo to zrobić? Czy w tym momencie nie zdradziliśmy interesów naszego mandatariusza? Czy w tym momencie nie zaczęliśmy reprezentować tylko siebie? To jest ten moment, w którym łamię się polityczna siła tego całego pomysłu Okrągłego Stołu.

□ Kiedy pojawia się następna okazja do wyjścia z narzuconego porozumienia z komunistami?

Następna okazja do wyjścia z narzuconego porozumienia pojawia się w listopadzie 1989 roku. Pada wówczas mur berliński, staje się oczywiste i jasne dla wszystkich, że Związek Sowiecki przestał gwarantować polityczny stan rzeczy w Europie Środkowo-Wschodniej. Przestał gwarantować w tym sensie, że interwencja wojskowa w krajach środkowoeuropejskich nie jest już możliwa. Przemiany w poszczególnych krajach tego regionu Europy stają się wewnętrzną sprawą lokalnych reżimów satelickich. W tym momencie podtrzymanie tego systemu było nie tylko błędem, było, powiedziałbym wręcz, zdradą interesów własnego narodu. Było to przejście na pozycję przedłużania życia systemu, który polskiemu społeczeństwu został narzucony siłą, terrorem. A teraz okazuje się, że wyłonione z tego społeczeństwa opozycyjne elity przechodząc na drugą stronę, podtrzymują ten system i zdradzają interes własnego narodu, własnego społeczeństwa. Był to ten moment przełomowy, w którym można było rozpocząć inną politykę, inne postępowanie.

□ Co należało wtedy zrobić?

W tym momencie należało powiedzieć: dobrze, dziękujemy wam, do tej pory dotrzymywaliśmy umów, jednakże teraz, w nowej sytuacji ich ważność wygasa. Jest taka klauzula w prawie międzynarodowym *rebus sic stantibus* – prawo, które jest, dostosowuje się do stanu rzeczy. Normy prawa są niezmiennie,

stany rzeczy są zmienne, w związku z czym normy prawa wyklada się inaczej, czasami zupełnie odmiennie niż poprzednio, aby dostosować je do zmieniającej się rzeczywistości. Coś takiego należało przyjąć tutaj.

*Serdecznie pozdrawiam Cyfelników
'Solidarności' 'Wolności' a Redakcję
życzeń dobrości, szczęścia i owocnych
lat stulecia spawania niepodległości
Polski i wolności wszystkich jej
obywateli.*

Wawron, 1 sierpnia 1988

□ W czerwcu 1989 roku Bronisław Geremek powoływał się na zasadę *Pacta sunt servanda*.

Jest to odwrotność tej pierwszej zasady. Są to dwie równorzędne zasady prawa międzynarodowego, które stosowane są w zależności od sytuacji istniejącej między podmiotami umów międzynarodowych.

□ Kolejna alternatywa: nie wiadomo do tej pory, realna czy pozorna to prezydentura Lecha Wałęsy?

Ona już była próbą przełamania tej fałszywej sytuacji politycznej, która utrzymywała się od listopada 1989, o której było wiadomo, że jest przez społeczeństwo nie akceptowana, kontestowana. Polegała ona na tym, że układ postkomunistyczny, który cofał się, w oczywisty sposób zmierzał do rozpadu, był w Polsce w sztuczny sposób podtrzymywany przy życiu. Wtedy system ten był chroniony nie przez samych komunistów, zagranicę, ale przez opozycjonistów, czyli przez naszą stronę. Od tego momentu wewnątrz elit, które zasiadały przy Okrągłym Stole, rozpoczynają się kontrowersje wokół tego, jak dalek postępować. W tym momencie (koniec roku 1989) zaczyna rysować się zasadniczy podział na tych, co uznawają zasadę *pacta sunt servanda* – niezależnie od tego, co się dzieje podtrzymujemy to, co podpisaliśmy, i na tych, co opowiadają się za zasadą *rebus sic stantibus* – rzeczywistości politycznej, w ramach której podpisywaliśmy porozumienie, już nie ma, wobec czego trzeba spełnić wolę społeczeństwa, jemu oddać głos. Bo coż to oznacza słowo „niepodległość”? Oznacza ono wyrażenie wolnej woli przez naród, przez społeczeństwo. A więc jak najszybciej trzeba przeprowadzić wolne wybory. Gdy powstawała II Rzeczypospolita – 11 XI 1918 roku uważa się za pierwszy dzień niepodległości – to już 26 I 1919 roku przeprowadzono wolne wybory. Ta tymczasowa władza, która powstała z konieczności, oddała głos narodowi, stając się od tego momentu legalną władzą niepodległego państwa. Otóż po 1989 roku takiej decyzji i takiego momentu nie mieliśmy. Przeciwnie, cała elita opozycyjna grała na zwłokę. Przecież wybory majowe 1990 roku do samorządu były zabiegiem zastępczym. One przyniosły nawet pewien postęp. Powstanie samorządu był jednym z niewielu sukcesów tego okresu. Ale przecież wybory samorządowe były typowym zabiegiem zmierzającym do wyminięcia czy ominięcia tego podstawowego problemu. Taki gest, taki ruch mogła równie dobrze zrobić władza komunistyczna. Czasami uciekała się ona do takich manewrów w momentach kryzysu, np. zgodziła się na działanie rad robotniczych w 1956 roku. To był taki typowy, w tym stylu zrobiony zabieg.

Trzeba było paru miesięcy dalszej walki, żeby doprowadzić już nie do wyborów parlamentarnych, ale do wyborów prezydenckich. Wydawałoby się, że ten akt wyboru jest wyrażeniem woli przez naród. Tak to zostało potraktowane przez polską emigrację, która po wyborze Wałęsy przekazała mu insygnia

Prezydenta RP na uchodźstwie, symbol legalnej władzy państwa. Ale cóż, okazało się, że prezydent nazajutrz po wyborze zaczął podtrzymywać stary układ. Wbrew temu, co głosił, odstąpił od swojego programu.

□ Dlaczego? Czy zaważyła na tym przeszłość Bolka?

Ten dylemat będą mogli kiedyś rozstrzygnąć historycy, gdy będą znać więcej faktów, dokumentów, znacznie więcej elementów potrzebnych do pełnej analizy.

□ Kolejna alternatywa powstała po wolnych wyborach parlamentarnych, po których został uformowany Pański rząd. Dysponując obecną wiedzą, jakich błędów chciałby Pan uniknąć, gdyby mógł Pan cofnąć się kilka lat wcześniej. Jedną z rzeczy, której Pański rząd nie zrobił, to nieprzeprowadzenie reprivatyzacji. Myślę, że jej zaniechanie miało kapitalne znaczenie, gdyż zwrot mienia w naturze byłym właścicielom stworzyłby w Polsce klasę średnią, nie, związaną z układami nomenklaturowymi. Taka klasa średnia byłaby naturalnym elektoratem dla centroprawicy.

Zawsze są jakieś inne możliwości, rzecz tylko w tym, czy są to możliwości dające rozwiązania rzeczywiste i skuteczne pozwalające uniknąć porażki, uniknąć klęski. Myślę, że jeżeli chodzi o tę alternatywę, o której pan wspominał – nieprzeprowadzenie reprivatyzacji, to rząd nie mógł tego zrobić, gdyż nie mieliśmy większości w Sejmie. To mógł przeprowadzić tylko parlament. Samej zasady zwrotu mienia nikt nie kwestionował. Różnice pojawiały się wtedy, gdy zaczęto dyskutować nad sposobem przeprowadzenia reprivatyzacji. Komuniści na to się nie zgadzali i było wiadomo, że będą blokować każdą ustawę. Nomenklaturowe stronnictwo, jakim było PSL, było w zasadzie za, lecz z wyjątkiem zwrotu majątków ziemskich, gdyż dotyczyło to ich elektoratu. Wśród prawicy był szeroki podział pod względem tego jak, co i komu zwracać. Nakładał się na to problem odszkodowań dla ludzi, tzw. repatriantów zza Bugu. Sprawa była na tyle skomplikowana, że – w moim przekonaniu – przeprowadzenie tej ustawy, w bardzo szybkim tempie, bo tak było to trzeba było zrobić, aby było to skuteczne, było niemożliwe. Tutaj nie czynię sobie większych wyrzutów, gdyż w tamtym czasie nie można było przeprowadzić takiej ustawy.

□ Myślę, że być może bardziej zdecydowane postawienie tego problemu przez Pański rząd uruchomiłoby pewien proces. Tak jak Pana deklaracja o przystąpieniu do NATO uruchomiła proces integracji z zachodnimi strukturami bezpieczeństwa, który nawet komuniści pod groźbą utraty wiarygodności nie odważyli się zablokować.

Tylko że my jako pierwsi sformulowaliśmy postulat wejścia do NATO. Natomiast wcale nie byliśmy pionierami w przypadku reprivatyzacji i lustracji. Problemy te pojawiły się prawie nazajutrz po obaleniu rządów komunistycznych, a już na pewno natychmiast po objęciu przez Lecha Wałęsę urzędu prezydenckiego. Tylko że nikt wtedy się nie kwapił, żeby to zrealizować. Wszyscy mówili, że trzeba zrobić, tylko nie było jednoznacznej, silnej woli politycznej przeprowadzenia tego. Była to więc zupełnie inna sprawa niż nasze przystąpienie do Paktu Północnoatlantyckiego, gdyż o tym w ogóle nikt nie chciał mówić. Musieliśmy przełamać opory ówczesnych elit politycznych, stawiając tę sprawę na ostrzu noża przy ogromnej niechęci wszystkich ugrupowań, z wyjątkiem nurtu niepodległościowego, który w ówczesnym Sejmie stanowił wyraźną mniejszość.

□ Dlaczego sprawa przystąpienia do NATO budziła takie opory?

Wiązało się to z zanegowaniem tradycyjnego widzenia geopolitycznego położenia Polski. Pokutował on w spojrzeniu polskich elit. Wszyscy byli przekonani, że mając podpisany układ najpierw ze Związkiem Sowieckim, a później z Rosją, trzeba się z nią jakoś dogadać. A wiadomo, że ona się na to nie zgodzi. Był to objaw satelickiego myślenia zinternalizowanego w świadomości polskiej klasy politycznej. W znacznej mierze wynikało to z rodowodu tych elit. Ale nie tylko. Był to wynik przekonania, że ponieważ komunizm trwał w Polsce przez ponad 40 lat, to wiadomo jest, że bez zgody Moskwy niczego się tutaj nie osiągnie. Jeżeli oni na coś się nie zgodzą, to można próbować coś zrobić, ale skończy się to niepowodzeniem lub – co gorsza –

katastrofą, czyli sowiecką interwencją. Ten sposób rozumowania był głęboko wkomponowany w myślenie polskiego społeczeństwa, a zwłaszcza w myślenie jego elit intelektualnych. Również dzisiaj zauważam relikty takiego myślenia nawet wśród zwolenników stronnictw, których nie można podejrzewać o sympatię dla komunizmu. Ten sposób myślenia trzeba było przełamać. Zaryzykowaliśmy, gdyż była to podstawowa przesłanka polskiej racji stanu. Postawiliśmy ten problem w sposób jednoznaczny, uruchamiając pewien proces.

Niech pan zauważy, że zanim doszło do realizacji przystąpienia Polski do NATO, też był okres milczenia czy nawet próby przeciwdziałania – pojawiły się koncepcje tworzenia NATO-bis itd. Dopiero podczas rozmów Jelcyna z Wałęsą w Warszawie, prawdopodobnie pod wpływem użycia napojów wysokokowych, prezydent Rosji wyraził zgodę: chcecie do NATO, to idźcie. Ta domniemana zgoda Rosjan trwała przez trzy tygodnie, dopóki oni się nie pozbierali. Ten fakt dopiero uruchomił po naszej stronie przekonanie, że możemy starać się o przystąpienie do NATO, ponieważ mamy zgodę Rosjan. Możemy iść do przodu, bo już wolno. Niech pan zwróci uwagę, jak głęboko to myślenie satelickie tkwiło. Nawet taki Wałęsa nie odważył się wysunąć postulatów wejścia Polski do NATO, dopóki z Jelcyna nie wycisnął jego domniemanej zgody. To była zasadnicza sprawa. Ja mam cały czas takie przekonanie, że w istocie rzeczy oś konfliktu i to, co zadecydowało o obaleniu rządu, nie miało nic wspólnego z lustracją. Lustracja nie była powodem głównym. Decydującym był konflikt, w który weszliśmy w momencie, gdy podjęliśmy walkę o podstawowe *principium*, o niepodległość.

Kraj był formalnie niepodległy, Związek Sowiecki przestał istnieć, przestał nas obowiązywać Układ Warszawski, ale na terytorium Polski wciąż stacjonowały rosyjskie garnizony. Jeżeli miałem co do ich roli jakieś złudzenia, to rozwiały się one gdzieś mniej więcej w tydzień czy dziesięć dni po utworzeniu rządu. Pewnej nocy w styczniu 1992 roku obudził mnie zastępca szefa Urzędu Ochrony Państwa. Miał bardzo pilną wiadomość, która musiała być natychmiast przekazana. W ciągu dziesięciu minut przyjechał do mnie i przedstawił mi najświeższy raport. Pochodził ze źródeł, według ocen naszego wywiadu, miarodajnych, których sprawdzać wtedy nie było ani czasu, ani możliwości. Według nich, w garnizonach wojsk rosyjskich znajdujących się w Polsce zostało zarządzane ostre pogotowie bojowe i dzieje się coś, co by wskazywało, że szykują się oni do jakiegoś skoku, do jakiejś akcji. Nie wiadomo co, nie wiadomo dlaczego, ale coś się dzieje. Poprosiłem wtedy o dane, które pomogłyby mi podjąć decyzję, jak można temu przeciwdziałać. Przekonałem się wtedy, że jesteśmy kompletnie bezradni. Siła ognia i sposób rozmieszczenia jednostek rosyjskich w Polsce był taki, że mogły one dosłownie w ciągu kilku godzin obezwładnić kraj, przejąć całkowicie kontrolę nad wszystkimi ośrodkami władzy, a my nie byliśmy w stanie w jakiegokolwiek mierze skutecznie się przeciwstawić. Cały rząd może jedynie zejść do konspiracji i walczyć z tych pozycji, z których rozpoczynaliśmy w 1945 roku. Od tego momentu zdałem sobie sprawę, że musimy za wszelką cenę doprowadzić do tego, żeby się tych wojsk pozbyć.

To była główna oś działania rządu, o której się może mniej mówiło, gdyż tego nie można było robić. Jednakże nie można zrozumieć przebiegu wypadków, jeżeli nie pamięta się o tym, że przez cały czas istniało to biegnące, niejawne pasmo wydarzeń. W istocie rzeczy nasz największy sukces – doprowadzenie do tego, że strona sowiecka podpisała umowę o wycofaniu wojsk bez spełnienia warunków, które wcześniej uporczywie forsowała – doprowadził nazajutrz do tego, że Wałęsa złożył wniosek o udzielenie wotum nieufności rządowi. Stanowi to właściwie zamknięcie sprawy. Od tego momentu biegą wypadki, które mogły przybierać taką formułę lub inną, ale było wiadomo, że w głosowaniu nad wotum nieufności dla rządu zostanie to przeprowadzone, a my się temu nie oprzemy. Chyba że drogą zamachu stanu, o którym nie można było nawet myśleć, ponieważ wywołałoby to takie konsekwencje, których nie można byłoby nawet przewidzieć. Nikt się nawet z moich ministrów czy współpracowników z taką propozycją do mnie nigdy nie zwracał. Chociaż wiem ex post, że ktoś tam o czymś takim myślał, ale